



W S T Ę P

Paweł Milcarek

Tradycja i tradycjonalizmy

Kościół jest Tradycją. W najbardziej źródłowym sensie tego słowa: jest przekazywaniem Chrystusa, którego człowieczeństwo jest z kolei niezastąpionym sposobem przekazywania Boga ludziom. Cały organizm dogmatów, interpretacji Pisma, niezbędnych działań liturgicznych z sakramentami w centrum, hierarchii władzy i zasad posłuszeństwa jest Tradycją właśnie dlatego, że sam Kościół, mistyczne ciało Pańskie, jest — jak to z niezwykłą intuicją napisał w XIX wieku opat odnowionego Solesmes, Dom Guéranger OSB — „żywą Tradycją”, inaczej mówiąc „Chrystusem przekazywanym” (Bossuet).

KIM WIĘC SĄ KATOLICY tradycjoniści? Narzuca się odpowiedź, że katolikami przeżywającymi fakt Tradycji z ponadprzeciętną intensywnością — a przede wszystkim z większą świadomością. Tradycja „dzieje się” — może się dziać — zasadniczo bez tej skoncentrowanej na niej intensywności przeżyć i bez tej wyostrożonej świadomości. Jednak gdy „tradycyjna” struktura Kościoła bywa podważana, gdy do myślenia religijnego katolików przenikają wątki modernizmu sprowadzającego katolicyzm jedynie do pewnej partykularnej konkretyzacji mglistego ogólnoludzkiego poczucia religijnego, gdy wreszcie pod wpływem antyspołecznego nominalizmu zakwestionowaniu ulega także fakt kościelnego „my”, rozciągniętego na wszystkie czasy — zdrową reakcją życia katolickiego mogło być tylko wytworzenie się środowisk i autorytetów podkreślających to, co kwestionowane, podnoszących wagę tego, co zaniedbane, prostujących to, co zniekształcone.

Konkretność ludzkiej kondycji sprawia, że wielką Tradycję kultywuje się i jej broni niemal zawsze na polu jakiejś tradycji, czyli którejś z jej historycznych postaci.

I tak dla nas, katolików obrządku rzymskiego, miejscem realizacji Tradycji jest tradycja łacińska. Od czasu gdy za sprawą świętego Piotra centrum świata łacińskiego stało się także stolicą stolic Kościoła, wielka Tradycja i tradycja łacińska zrosły się mocno — a ta ostatnia stała się dla milionów Europejczyków ojczyzną duchową właśnie dlatego, że była też miejscem objawiania Chrystusa i konkretyzacji Nowego Przymierza między Bogiem i ludźmi.

Oto interesujący nas tutaj system pośrednictw: wielka Tradycja dzieje się dla nas wewnątrz historycznej tradycji łacińskiej. Dlatego tradycjonałisci z naszego świata to właśnie obrońcy tradycji łacińskiej — właśnie tej, która wytworzyła nas samych, zrobiła z nas chrześcijan, Europejczyków, Polaków.

I chociaż mowa tu o tradycji *łacińskiej*, to przecież nie o łacinę tu chodzi, na pewno nie o nią samą, nawet nie o jej specyficzne piękno, precyzję, lapidarność, nie o jej dzisiejszy sakralny wdzięk języka nie-zwykłego. Mowa o pewnym uniwersum znaków liturgicznych, wątków teologicznych, akcentów duchowych, utrwalonych historii i skryzalizowanych obyczajów lub praw. To właśnie nazywamy tradycją łacińską, która dała nam Tradycję, z którą wchodzi do naszej historii Chrystus Zbawiciel.

To właśnie rozumieją tradycjonałisci — i dlatego z taką determinacją i uporem zabiegają o przywrócenie powszechnej dostępności najbardziej powszechnych instrumentów tej tradycji: dziedziczonej przez wieki liturgicznej szaty sakramentalnego Misterium. I nie tylko tej „szaty”, jakby wyjętej na chwilę ze strzeżonej gablo ty pamiątek, lecz jako znaku przywracającego sens całej rozczłonkowanej ojczyźnie duchowej, całej tradycji łacińskiej tworzącej też od wewnątrz *Polonia semper fidelis*. Tradycjonałisci pragną po prostu, by stare kanały przekazu wiary nie były dewastowane tylko dlatego, że w planach jest budowa nowych instalacji.

W roku ubiegłym papież Benedykt XVI roztropnym i mężnym gestem postawił właśnie na „eksperyment Tradycji”, o który w latach 70. prosił Sługę Bożego Pawła VI energiczny abp Marcel Lefebvre, jeszcze zanim jego nadzieje uległy posoborowej beznadziei. Ten „eksperyment” polega na ponownym uruchomieniu wewnątrz Kościoła tego zaniedbanego lub wręcz zakazanego kanału promieniowania Łaski. W motu proprio *Summorum Pontificum* Ojciec Święty otworzył możliwość szerokiego i legalnego powrotu liturgii gregoriańskiej, „starszej formy rytu rzymskiego” do zwykłych parafii. „Czy liturgia ta ma być obecna w wielu parafiach?” — pytali niedawno dziennikarze reprezentującego Papieża kard. Castrillon Hoyosa, celebrującego pierwszą od 39 lat Mszę „trydencką” w katedrze westminsterskiej. „Nie, nie w wielu — odparł Kardynał. — We wszystkich!” Kardynał Hoyos wyjaśnił, że wolą Papieża jest, aby bogactwa tradycji liturgicznej były dostępne nie tylko dla wąskich grup, lecz obecne w życiu szerokich rzesz wiernych.

Takie stanowisko Rzymu to szok dla wielu — także dla tych, których „liberalizm” polega nie tyle na neutralnej deregulacji dyscypliny kościelnej, lecz na używaniu dyscypliny kościelnej do rugowania form tradycyjnych. Zapytajmy jednak

także, w jakim stopniu sami tradycjonaści są gotowi być sojusznikami Stolicy Apostolskiej w niełatwym dziele odbudowy tradycji łacińskiej.

Z pozoru to pytanie może wydać się nawet lekko absurdalne: jak to, więc trzeba pytać, czy tradycjonaści są sojusznikami sprawy upowszechnienia bogactw tradycji łacińskiej? Jasne, że na takie pytanie można tylko wzruszyć ramionami, gdyż rdzeń środowisk tradycjonalistycznych, także w naszym kraju, stanowią ludzie, którzy właśnie dla sprawy dostępności Mszy „trydenckiej” znosili przez lata najgorsze niezrozumienie. Jakże dzisiaj, po *Summorum Pontificum*, właśnie ci ludzie nie mieliby być najbardziej pożyteczni w realizacji planów Benedykta XVI?

Oczywiście tak jest. Pytanie postawione wyżej nie dotyczy jednak ogólnych intencji czy deklarowanych haseł. Ma ono na względzie realne postawy. Czy zatem my, tradycjonaści, potrafimy być dzisiaj rzeczywiście sojusznikami sprawy zdefiniowanej ostatnio w *Summorum Pontificum*?

W naszych słowach i gestach — w słowach i gestach tych samych osób czy środowisk — przewijają się różne nastawienia. Jest więc tradycjonalizm o rysach zadzierzystego fundamentalizmu, skoncentrowany na rozpoznaniu zagrożeń i chętnie rysujący białą kredą krąg wokół siebie, by oddzielić się od powszechnego zepsucia, za to zapewnić czystość zasad wewnątrz kręgu. W tym kręgu papież Benedykt nie ma dobrej prasy — nie jest dość „czysty”, patrzy się więc na niego trochę z góry, czasem z pobłażaniem albo z podejrzliwością, zachowując swoje miejsce obok. Do współdziałania z Papieżem można by przystąpić chyba dopiero wtedy, gdyby wcześniej udowodnił, że jest świętym Piusem X.

Jest jednak także tradycjonalizm w zgoła odmiennym typie konserwatywnego instytucjonalizmu, wypełniony przede wszystkim staraniem o uzyskanie uznania w systemie aparatów kurialnych, gotowy do całkowitego wyłączenia sprawy liturgii tradycyjnej z kontekstu ogólniejszego świadectwa katolickiego, niezdolny do działania w sytuacjach wymagających osobistego męstwa. Tradycjonalizm stosunkowo łatwy do „kupienia” — jednym gestem przychylności, jednym pozorem „uoficjalnienia” — a za to oferujący lojalizm (co prawda podszyty cynizmem) i milczenie w drażliwych kwestiach.

W jednej i drugiej postawie można wykryć troskę o jakieś ważne dobra: gdy fundamentaliści mają na względzie integralność przesłania obecnego w „starym rycie”, instytucjonaści chcieliby, żeby rozpowszechnieniu „nadzwyczajnej formy rytu rzymskiego” służyły zwykłe mechanizmy lokalnego życia kościelnego, z bardzo ludzkimi elementami konformizmu włącznie. Kłopot w tym, że maksymalizm pierwszych uniemożliwia im zaufanie intencjom Papieża, a minimalizm drugich może pozbawić instytucjonalną normalizację tradycyjnych form liturgicznych jakiegokolwiek nonkonformistycznego wydzwiku, za to połączyć tę sprawę z karykaturalną redukcją tradycji katolickiej do przestrzegania pewnych form sakralnych.

Te trudności są jedynie uskrąpleniem rzeczywistej życiowej konkurencji pewnych wartości. Dobrze kilka lat temu pisaliśmy w tym miejscu o napięciu między

wiernością i lojalnością: podczas gdy wierność zakotwicza nas w „niebie” zasad, prawdziwa lojalność pozwala iść społecznie po „ziemi”. Tylko wyćwiczona cnota roztropności — na pewno nie sam spryt — pozwala połączyć jedno z drugim tak, aby wierność nie zdegenerowała się w sekciarski fanatyzm, a lojalność — w niewolę ziemskich układów.

Gdy śledzi się dziś wiadomości z Rzymu i ze szlaku duszpasterstwa Benedykta XVI, czuje się, że Kościół chce dziś oczyścić swoje życie nie tylko z heretyckich tendencji modernistycznych czy ekscesów liberalnej deregulacji, lecz i z takiego lęklivego i ciasnawego podejścia „konserwatywnego”, które zabiega tylko o „zachowanie tożsamości”, a nie o czytelność nawracającego świadectwa. Kolejne działania Papieża układają się w pewną całość — i tak powinny zostać uszanowane. Papież przywrócił Mszę „trydencką” — bo z głębin wieków mówi ona o prymacie Boga bez ogródek, a życie Kościoła ukazuje jako wyjście na spotkanie Pana. W osobnych dokumentach polecił przypomnieć naukę o tym, że Kościół jest depozytariuszem nieuszczerplonej prawdy i że prawdę tę należy głosić tak, aby nawracała. W encyklice o nadziei naucza o tym, jak bezbronnie samotny jest świat bez Chrystusa — a więc jak niezbędna jest misja Jego głoszenia wszystkim. Co ważne, to samo przesłanie jest widoczne w słowach i gestach Papieża z jego spotkań ekumenicznych lub z jego relacji z wyznawcami innych religii: zawsze Benedykt XVI wyjaśnia z miłością, że celem tych spotkań jest szukanie prawdy, a Kościół wie dobrze, gdzie jej szukać i Kto ją nam przyniósł. W zredagowanej przez Papieża wielokopiówkowej modlitwie „za żydów” nie zostawiono wątpliwości co do tego, że uznanie Chrystusa jest konieczne do zbawienia.

Wszystkie te działania zmierzają do wytrącenia katolików ze stanu zasklepienia w swej duchowej „niszy”. Nie ma zgody ani na modernistyczne „chrześcijaństwo zaadaptowane”, ani na fundamentalistyczne wycofanie się z obszaru świeckiego życia publicznego. Z liberalizmem, dominującym w przestrzeni publicznej, Papież prowadzi od dawna swój otwarty dialog zapośredniczony we wspólnej trosce o Zachód — jednak nie z pozycji petenta załatwiającego sobie szacunek dla swej tożsamości, ale w imieniu transcendentnej prawdy. Ostrzega, że dzisiejsza treść liberalizmu, ustroju w założeniach wolnościowego, to „dyktatura relatywizmu”.

Swoimi słowami i gestami Papież daje nam w Kościele i świecie szansę na nowy nonkonformizm: nie ten, który będąc w istocie podbechtywaną próżnością, został kiedyś użyty do dewastacji wielowiekowego ładu, lecz ten, który jest dziś reakcją na system fałszywych lojalności i układ interesów, odbierający nam szansę na normalne życie.

Rzym Benedykta XVI jest dziś miejscem zwołania tej duchowej krucjaty, która już dziś nie ma łatwej drogi. W drogę wyruszają jednak tylko ci, którzy poza poglądami mają także zdolność ofiarowania swego życia.